

# MAX OZORNY

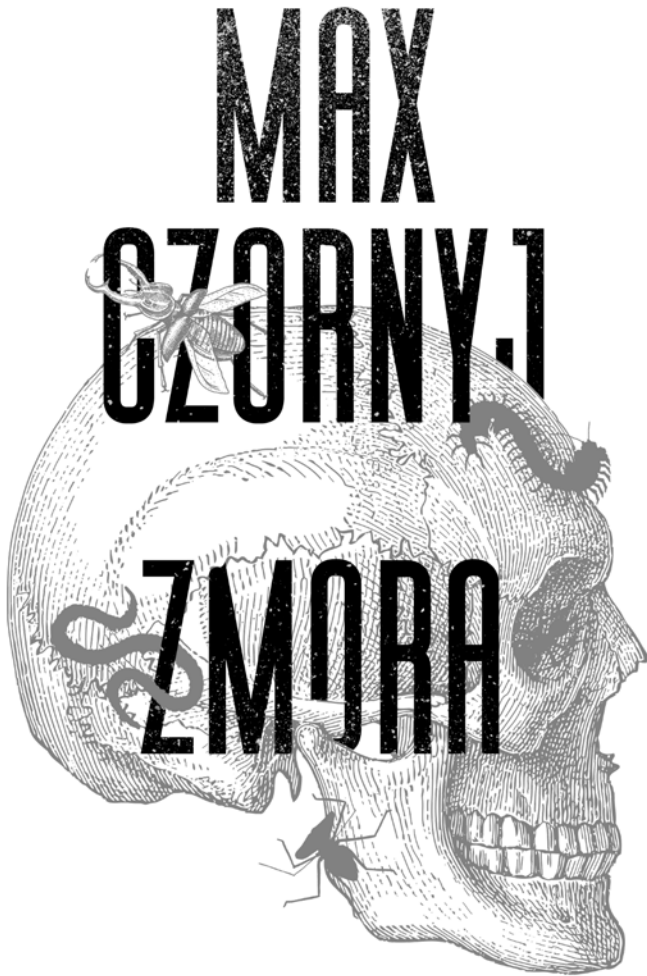


STRACH TO ŻYCIĘ. CI, KTÓRZY CHCĄ UMRZEĆ  
NIE CZUJĄ STRACHU.

# ZMORA

FILIA





FILIA



*Chorym na fibromialgię, ku zwiększeniu społecznej  
i lekarskiej świadomości istnienia tej choroby.*



Nie dłużej po mnie płacz, niż pokąd dzwony  
Będą dla świata posępnym wyrazem,  
Żem z jego nędzy odszedł umęczony,  
Aby zamieszkać z najnędzniejszym płazem.  
Czytając pieśń tę, zapomnij o ręce,  
Co ją pisała: wolę w twojej pamięci  
Zgasnąć, niż myśleć, że utoniesz w męce  
Że się w łzach moich tve wspomnienie święci.  
O tak, na rym ten patrząc, niech twa dusza,  
Kiedy już będę porównany glinie,  
Mego imienia z grobu nie porusza,  
Niech miłość twoja wraz z mem życiem zginie.

Nie chcę, by świat ten, słysząc twoje skargi,  
Drwiną z powodu mnie stroił swe wargi.

W. Szekspir, *Sonet XXI* (tłum. Jan Kasprówicz)





## DZIEŃ PIERWSZY

### 1



Życie to brak śmierci, a śmierć to brak życia. To twierdzenie, podstawa wielu systemów religijnych oraz filozoficznych, było parszywie naciągane. Nie popierał go żaden dowód. Nikt nie potrafił wskazać wyraźnej granicy między tym, co żywe, a tym, co martwe. Wszelkie próby wznoszenia takich granic zostały bezpardonowo storpedowane przez naukę. Wśród genów odpowiadających za rozbudowę tkanki istniały geny odpowiadające za jej zamieranie. Jedno wynikało z drugiego i kropka. Religie mogą sobie upaść lub muszą się dostosować. Doktryny przecież zmieniano wielokrotnie, dopasowując je do znacznie słabiej uzasadnionych tez.

Henryk wielokrotnie rozważał te zagadnienia i obecnie nie miał żadnych wątpliwości. Był całkowicie przekonany, że życie to umieranie. Wystarczyło to założenie rozebrać na czynniki pierwsze. Zobaczcie sami.

Już pierwszy oddech zaczerpnięty przez niemowlaka jest jednym z oddechów odebranych ze

ściśle przepisanej mu puli. Każdy wdech i wydech przybliży człowieka do śmierci. Ten fakt dostrzegają przynajmniej niektóre dalekowschodnie systemy filozoficzne, czego konsekwencją stała się medytacja oparta na koncentracji nad oddechem. Pal diabli medytację. To nie jest zabawa dla każdego. Lepiej skupić się na uświadamianiu samego siebie. Na logice.

Powtórzmy raz jeszcze: fakt, że życie to umiowanie, jest dowiedziony naukowo. Już w łonie matki płód ludzki wytwarza komórki, które następnie zaczynają się rozpadać. Część z nich nigdy nie zostanie zregenerowana, lecz jest zarodkiem tego, co kiedyś będzie człowieczym truchłem.

Człowiecze truchło... W ten górnolotny sposób gnijącego trupa określił ksiądz na jednym z ostatnich kazań, których wysłuchał Henryk. Zapamiętał to sformułowanie, gdyż brzmiało naprawdę wdzięcznie.

Rodzimy się po części martwi, ale dopiero potem następuje prawdziwy festyn śmiertelności. Trawiące ciało choroby, siwiejące i wypadające włosy, degradujące się organy – przecież to wszystko stanowi jedynie stadium umierania. Poza krótką, kontrowersyjną fazą powstawania człowieka z plemnika i komórki jajowej organizm ludzki jest nakierowany na rozpad oraz nicość, a nie na

tworzenie. No, może dałoby się to nawet rozebrać na części składowe i poddać statystyce.

– Po co miałbyś to robić? – zapytał Roland. – Masz zbyt mało dowodów? Naprawdę chcesz wnikać?

Henryk wzruszył ramionami. Mijali właśnie zabytkową kamienicę pokrytą wyblakłymi freskami, z której szczytu zwieszało się kilka upiornych pysków gargulców. Niektóre drapieźnie się uśmiechały, inne krzywiły, wypływając końcówki rynien oraz rur odpływowych. Ten widok zawsze śmieszył Henryka.

– Znowu o tym gadamy – bąknął, opuściwszy głowę. O mały włos nie zderzyłby się z przygarbionym starcem idącym o lasce. W ostatniej chwili go wyminął. – Są tematy, które dosłownie nas prześladowają. Wiesz o tym.

– Po prostu nie chciałbym, żeby pula oddechów, którą przepisał mi los, była zbyt duża. – Roland przyspieszył kroku i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął z niej trzy kolorowe piłeczki, po czym nie zwalniając, zaczął nimi żonglować. – Świat jest zdecydowanie zbyt ponury...

– Zbyt ponury, na co?

– Na to, by bez przerwy myśleć o śmierci.

Henryk westchnął. Miał bladą, surową twarz, której główny element stanowiły wielkie błękitne oczy.

– To ty kiedyś chciałeś się zabić – parsknął ironicznie. – Ledwo cię odratowałem.

– Uznałeś, że lepiej jest się pogрузzyć w kilkumiesięcznym niebycie, dać faszerować dziesiątkami tabletek oraz traktować jak szaleńca?

– Przynajmniej teraz możemy ze sobą gadać.

Roland nagle złapał jedną piłeczkę po drugiej i krzywo się uśmiechnął. Spojrzał na przyjaciela z ukosa.

– Widzisz – odezwał się, gwałtownie poważniejąc – ja nie myślę o śmierci, a i tak ciągle chcę umrzeć. Ty o niej myślisz częściej niż ktokolwiek inny, ale chcesz żyć. Który z nas jest bardziej szalony?

Henryk nie odpowiedział. Przygarbił się i nerwowo sapnął. Nie lubił tych filozoficznych gadek. Czasem ciągnęli je całymi godzinami, lecz zawsze kończyły się tym samym. Kłótnią. Impasem dwóch całkowicie różnych stanowisk, których nie dało się ze sobą pogodzić. Choć być może chodziło im dokładnie o to samo. Tak jak o to samo chodziło wyznawcom Jahwe, Mahometa i Chrystusa. Dla każdego z nich ważne było tylko życie wieczne, a mimo to kierowali lufy karabinów w swoją stronę, przy okazji kierując je ku Wzgórzom Świętynnemu.

– Życie wieczne różni się od życia ziemskiego tym, że nie jest naznaczone umieraniem – odezwał się, kierując ku przejściu przez ruchliwą ulicę. Było

zapalone czerwone światło dla pieszych, lecz on się nie zatrzymywał. – To jedyna różnica. Nic więcej.

– Henryk!

Roland usiłował chwycić go za ramię, lecz mężczyzna dziarsko wkroczył na jezdnię. Rozległo się przeraźliwe wycie klaksonów. Po chwili dołączył do niego pisk opon oraz ciche trzask. Jedno z aut wpadło w poślizg i zahaczyło o wysoki krawężnik. Na szczęście nie wypadło z drogi, lecz odbiło się ku osi jezdnii, po czym otarło o bok autobusu. Kilkadziesiąt osób w środku na skutek gwałtownego hamowania upadło lub kurczowo chwyciło się foteli.

Henryk zdawał się tego nie zauważać. Nawet się nie skrzywił. W tym samym tempie przemaszerował na drugą stronę ulicy i dopiero wtedy przystanął. Spojrzał za siebie, lecz nigdzie nie dostrzegł Rolanda. A przecież to on wymyślił to idiotyczne wyzwanie. Życie to śmierć. Wielość w jedności, tak jak oni dwaj mieścili się w jednym ciele.

## 2



– A to ciekawe.

Honoriusz Mond wyprostował się i chuchnął, rozdmuchując pył z oczyszczonego boku renomowanego mebla. Pracował nad

forniowaną mahoniem szyfonierą, a właściwie semanierem, czyli wysoką komodą z siedmioma szufladami. W osiemnastym oraz dziewiętnastym wieku używano ich do segregowania ubrań na każdy dzień tygodnia. W późniejszym czasie pierwotna rola zanikła, lecz ostatnio semaniery na powrót cieszyły się zainteresowaniem klientów.

Mond pasjonował się renowacją i konserwacją zabytkowych przedmiotów. Jak niewielu ludzi miał to szczęście, że na swoim hobby jednocześnie nieco dorabiał. Co prawda nie było to w jego przypadku niezbędne, posiadał wystarczające środki, aby żyć dostatnio bez jakiegokolwiek pracy, ale nie lubił marnotrawić czasu. Dlatego też przed niespełna rokiem zatrudnił się w firmie sprzątającej Allegry Szmít. Oboje stali się znani z tego, że podejmują się najgorszych możliwych zleceń. Porządkowanie mieszkań, w których kilka miesięcy przeleżały zwłoki, deratyzacje najbrudniejszych piwnic lub dezynsekcje zapomnianych spiżarek stanowiły tylko czubek góry lodowej.

– A to ciekawe – powtórzył Mond.

Opuszkami palców otarł bok szuflady z pyłu i przekrzywił głowę. Był ubrany w elegancki czarny garnitur oraz jedwabny krawat, co stanowiło jego strój bez względu, czy właśnie pracował, czy przechadzał się po rynku. Złośliwi nazywali go przez

to „przedsiębiorcą pogrzebowym”, choć znacznie częściej mówiono o nim jako o Mortaliście. Przed laty był bowiem twórcą oraz szefem katedry mortalistyki, która zajmowała się zgłębianiem niepodejmowanej przez nikogo innego metody dochodzeniowo-śledczej. Mond forsował tezę, że punktem wyjścia do ujęcia sprawców zabójstw lub rozwikłania wszelkich spraw, w których pojawiały się ofiary śmiertelne, były ślady pozostawione właśnie przez śmierć. Nekroflora oraz nekrofauna, elementy rozkładu zwłok, fizjologia umierającego organizmu i tak dalej, bez końca...

Być może to właśnie wrodzona skłonność do analizy wzbudziła teraz jego zainteresowanie. Jedna z szuflad szyfoniery musiała być przerażająca. Klasyczne łączenie desek w tak zwany jaskółczy ogon zostało tu zastąpione gwoździami. Wziąwszy pod uwagę ich stan oraz kolor drewna, naprawę wykonano kilkadziesiąt lat po powstaniu mebla. Sto trzydzieści, może sto czterdzieści lat temu. Prowadnica nie miała jednak prawa się uszkodzić, więc istota problemu musiała tkwić w denku szuflady. Zapewne umieszczono w niej coś zbyt ciężkiego, o czym mogły świadczyć także zadrapania na spodzie szuflady montowanej wyżej. Czarne plamy na tyle mebla przywodziły skojarzenie z rozlanym atramen-

tem. Oczywiście, można byłoby to sprawdzić chemicznie, ale...

Mond przerwał te rozważania. Rozwodzenie się nad podobnymi szczegółami nie miało sensu. Trwoniał zbyt wiele czasu na wszelkie zagadki, jakie pojawiały się w jego otoczeniu. Tym bardziej że w specyficzny nastrój wprowadziła go poranna audycja radiowa, której wysłuchał przy śniadaniu. Jakiś specjalista wypowiadał się w niej o nieprzydatności róż historycznych we współczesnych ogrodach. Wymieniał między innymi odmiany Félicité et Perpétue oraz Cardinal de Richelieu, jako te, które kwitnąc jednokrotnie, powinny być zastępowane przez nowsze, niemal bliźniacze róże angielskie. Obie wspomniane odmiany rosły na terenie rodzinnej posiadłości Mondów i stanowiły oczko w głowie ojca Honoriusza. Do tej pory młody Mond doskonale pamiętał, że owszem, róże te kwitły jednokrotnie, lecz bardzo długo utrzymywały kwiat, a przede wszystkim wydierały nieprawdopodobny zapach. Nic nie mogło się równać z tym aromatem... Na jego wspomnienie powróciła cała seria obrazów z dzieciństwa, które, oczywiście, przywołały też te najgorsze wspomnienia.

Mond po raz kolejny odegnał ponure myśli. Aby zająć umysł czymś całkowicie innym,



podszedł do wejścia do pracowni i sięgnął po odłożoną rano paczkę. Znalazł ją przed drzwiami, lecz wtedy nawet nie zwrócił na nią uwagi. Teraz dokładnie zważył ją w dłoniach, po czym obejrzał z wszystkich stron. Nie znalazł nigdzie listu przewozowego, jaki naklejano na większości przesyłek. Krótka, wydrukowana kartka mieściła jedynie jego imię oraz nazwisko. Poza tym tekturowe pudło zdawało się kryć jakiś dość ciężki, lecz zabezpieczony przedmiot. Przewiązано je grubą wstążką, a niewielkie wgniecenie świadczyło, że nadawca pomagał sobie kolanem. Zapewne był osobą samotną lub złożył paczkę, nie chcąc w to angażować nikogo bliskiego. Ślad długopisu obok karteczki wskazywał natomiast, że początkowo planował podpisać się ręcznie. Szybko jednak zarzucił ten pomysł.

– A to ciekawe... – Mond te słowa wypowiedział już po raz kolejny tego dnia.

Ostrożnie pociągnął za wstążeczkę i zmarszczył czoło. Jego ciekawość była teraz niepomiernie większa niż w chwili, gdy rozważał historię szyfoniery. Jednocześnie towarzyszył jej niespodziewany głęboki niepokój. Niepokój, który znalazł swój wyraz w chwili, gdy otworzył paczkę.

– Co to jest, u licha?



– Chciałaś być szczęśliwa? – wycedził szaleniec. – Naprawdę tego chciałaś?

Kobieta delikatnie pokręciła głową. Baczenie obserwowała reakcję prześladowcy i widząc jego narastający gniew, nagle zaczęła przytakiwać. Po jej policzkach płynęły łzy, pod nosem zebrał się śluz, a białka wytrzeszczonych oczu pokrywała się popękanych naczynek.

– Proszę... – wycharczała.

– O co? O śmierć?

Szaleniec cicho się zaśmiał i uderzył pięścią w podłogę tuż obok głowy kobiety. Nachylał się nad nią, spoglądając jej prosto w oczy. W obu dłoniach zaciskał gruby kabel, który owinął wokół szyi ofiary. Od kilkunastu minut delectował się swoim zwycięstwem, raz po raz to go naprężając, to poluzniając.

Kobieta miała około trzydziestu lat oraz sięgające ramion blond włosy. Teraz były zmierzwiłone, sklejone krwią, która wyciekła z jej ucha oraz rany na policzku. Jej szara garsonka leżała na dywanie kilka metrów dalej, choć napastnik najwyraźniej nie zamierzał jej zgwałcić. Zdarł ją w trakcie

szarpaniny, gdy brutalnie wdarł się do jej mieszkania. Najpierw zadzwonił do drzwi i przedstawił się jako pracownik gazowni. Gdy kobieta, niczego nie podejrzewając, otworzyła zamek, z impetem ją staranował i wpadł do środka. Jego pogodne, miłe oblicze zmieniło się diametralnie. Upodobnił się do dzikiej bestii, której jedynym celem jest rozszarpanie ofiary na strzępy.

– Jeśli będziesz krzyczeć, zabiję cię jeszcze wolniej, niż pragnę – wycedził, gdy usiłowała stawiać opór. – Obedrę ze skóry twoje ręce i zrobię z nich rękawiczki. Twoje stopy włożę do wrzątku tak, by mięso łydek się ugotowało. Wiesz, że ten fragment człowieka smakuje całkiem dobrze? Masz ładne łydki...

Szaleniec wymownie się oblizał, a jej odebrało dech. Nagle przestała się bronić. Cicho skamląła, gdy owijał jej szyję kablem, lecz nie wołała o pomoc. Choć przecież sąsiedzi byli na wyciągnięcie ręki. Kilka metrów dalej, za betonową ścianą. Być może oglądali jakiś głupi program telewizyjny albo właśnie baraszkowali w łóżku.

Kobieta załkała. To było całkowicie nieracjonalne, lecz gdzieś w głębi duszy liczyła jeszcze, że ten potwór po prostu da jej spokój i opuści mieszkanie. Wierzyła w to, nie dopuszczając myśli, że może chcieć ją zabić. Wiara we własną

## **NIKT NIE JEST TAK SZYBKI JAK ŚMIERĆ.**

Honoriusz Mond nie wierzy w pecha. Jednak nie dość, że za sprawą niedawnego śledztwa ożywają w nim przerażające demony z przeszłości, to pewnego dnia dostaje niezrozumiałą wiadomość. Jej nadawcą ma być sama Śmierć.

W przeciwieństwie do Monda, Allegra Szmít wierzy w zjawiska paranormalne. Tymczasem ktoś, kto wciąga ich w szaloną grę, najwyraźniej zna tajemnice, których strzegą wyłącznie umarli.

W Krakowie dochodzi do makabrycznych zbrodni. Kim lub czym jest Śmierć? Jakie sekrety skrywa Mortalista? A może to on jest uwikłany w przerażające mordy?

Szalone tempo wydarzeń, nieustanne zwroty akcji i mroczne tajemnice. A na końcu zawsze jest... Śmierć. Macie odwagę spojrzeć jej w twarz?

**PRAWA DO EKRYNIZACJI „MORTALISTY”  
ZOSTAŁY SPRZEDANE!**

mrocznastrona.pl  
wydawnictwofilii.pl



FILIOTEKA.PL

**FILIA**

**cena 44,90 zł**

ISBN 978-83-8280-867-4



9 788382 808674